

Maurice Leblanc.

## TAJEMNICZE DOKUMENTY.

20

(Ciąg dalszy).

Lupin skłonił się nisko.

— Jutro mamy 22 sierpnia. Jutro listy mają być ogłoszone, prawda? — zapytał gość.

— Jeszcze dzisiejszej nocy. Za dwie godziny przyjaciele moi mają złożyć w redakcji „Grand Journal“ nie listy wprowadzić jeszcze, ale dokładny spis tych listów, podany przez wielkiego księcia Hermana.

— Ten spis ogłoszony nie będzie. Odda mnie go pan. Jak również same listy.

Gość mówił spokojnie, konstatował fakt, nie prosił. Znać było, że kto tak mówi, ten pisze się na wszystkie warunki.

Lupin przytwardzał milczeniem.

— Pan sam czytałeś te listy?

— Nie.

— Lecz ktoś z pańskich ludzi?

— Także nie.

— Co to znaczy?

— Znaczą, że posiadam spis i adnotacje wielkiego księcia. Zresztą znam skrytkę, gdzie ukrył wszystkie te papiery.

— A dla czego nie wydostałeś ich pan dotąd?

— Tajemnicę skrytki poznałem dopiero od czasu, gdy tu jestem. W danej chwili wyprawili się tam moi przyjaciele.

— Zamek jest pod strażą; dwustu naszych ludzi go pilnuje.

— Pomimo to...

Gość zamyślił się.

— Przez cztery dni zamek przetrząsaliśmy w każdym zakątku.

— Sherlock Holmes źle szukał. Ja odnajdę je napewno.

— Tem lepiej, tem lepiej — szepnął do siebie gość. — Nie będzie spokoju, dopóki istnieć będą te listy!

I nagle stając wprost przed Lupinem, zapytał:

— Ile pan żąda?

— Jakto?

— Ile za te papiery? Ile za wyjawienie tajemnicy? Pięćdziesiąt tysięcy?... Sto tysięcy?

A że Lupin nie odpowiadał, dodał z pewnym wahaniem:

— Czy więcej? Może dwieście tysięcy? Dobrze. Przyjmuję.

Lupin uśmiechnął się i rzekł cichym głosem:

— Cyfra jest ładna. Ale czyż nie należy przypuszczać, że jakiś monarcha, np. król angielski, gość by dać więcej za nie... Chociażby milion?... — Bardzo być może.

— I że te listy są dla cesarza ponad wszelką cenę? że warte są równie dobrze dwa miliony, jak dwieście tysięcy franków... równie dobrze trzy miliony, jak dwa?... — Nie przeczę.

— I że, gdyby tego było potrzeba, cesarz zapłaciłby te trzy miliony?

— Zapewne.

— A więc o porozumienie nie trudno.

— Na tej podstawie? — zawołał gość trochę niespokojnie.

Lupin uśmiechnął się znowu.

— Nie. Nie na tej podstawie. Nie szukam pieniędzy. Pragnę dla siebie czegoś cenniejszego od pieniędzy.

— I czegoż to mianowicie?

— Wolności.

Obcy drgnął.

— Co! Wolności dla pana? Ależ ja tu nic nie mogę... Tu my nie mamy władzy...

Lupin przystąpił bliżej i rzekł jeszcze ciszej:

— Ma książkę wszelką możność... Wystarczy, by książkę, imieniem swego pana, wstawił się u pana Valenglay, prezydenta ministrów.

— Ależ to należy do ministerstwa sprawiedliwości. To byłby skandal. P. Valenglay nie może...

— Bardzo dobrze, owszem, może otworzyć mi drzwi więzienia. Jeżeli mówię drzwi „otworzyć“, mam na myśli drzwi „uchylić“. Można urządzić sygnalizację ucieczki... publiczność tak się tego spodziewa, że nie wglądałaby bliżej.

— Być może... ale pan Valenglay nie zechce...

— Dlaczego? Przysłużyć się cesarzowi tak droższą, sam zmysł...

— Valenglay to dobry człowiek...

— Poza tem innych warunków nie stawiasz pan?

— Owszem... jeszcze jeden.

— A to mianowicie?

— Odnalazłem syna księcia Dwóch-Mostów Veldenz. Żądam, by mu przywrócono prawa.

— I co jeszcze?

— On kocha młodą dziewczynę, która go kocha wzajemnie, najpiękniejszą i najcnotliwszą z kobiet. Niech mu będzie dozwolonem pojąć ją za żonę.

— I jeszcze co więcej?

— Więcej nic. Jeżeli książę imieniem swego monarchy przyjmie moje warunki, proszę oddać redaktorowi „Grand Journal“ ten list, gdzie go proszę, by nie czytając, zniszczył artykuł, który łączy chwała doręczonym mu będzie.

Lupin ze ścisniętym sercem, drżącą ręką podał list. Jeżeli hrabia go przyjmie, będzie to znak zgody...

Hrabia zawahał się, a potem porywczym gestem wziął list, nasunął czapkę, otulił się w płaszcz i wyszedł, nie mówiąc słowa.

Lupin zachwiał się, jak pijany, i nagle z radosnym śmiechem opadł na krzesło.

## Rozdział III.

## I.

— Panie sędzio śledczy, a więc dzisiaj z zalem mam honor pana pożegnać!

— Jakto, panie Lupin, pan masz zamiar nas opuścić?

— Bardzo niechętnie, panie sędzio śledczy, gdyż stosunki nasze były przecież tak serdeczne! Ale każda przyjemność się kończy. Skończyłem moją kurację. Inne obowiązki mnie wzywają. Muszę uciekać tej nocy.

— Szczęść Boże, panie Lupin!

— Dziękuję, panie sędzio!

Arsen Lupin czekał cierpliwie chwili swojej „ucieczki“, ciekaw, jak się to odbędzie bez nazbyt wielkiego skandalu.

W biegu popołudnia dozorca polecił mu udać się na podwórzec wchodowy. Poszedł tam zwawo i zastał dyrektora więzienia; ten wydał go w ręce p. Webera, tenże zaś p. Weber kazał mu wsiąść do automobilu, w którym już ktoś siedział. Był to sam prefekt policyi.

Automobil sunął szybko wzdłuż Sekwany. W Saint Cloud przejechano na drugą stronę rzeki.

— Doskonale! — pomyślał Lupin — jedziemy do Garches! Niby to potrzebują dostawić mnie na miejsce zbrodni, by zbadać okoliczności morderstwa Altenheima. Zejdziemy do suterenu, ja zniknę i będzie powiedziane, że umknąłem innem wyjściem, którego nikt nie znał, prócz mnie! No, mogli się przecież zdobyć na oryginalniejszy pomysł!

Program był istotnie taki, jak go Lupin przewidział. Przez Zacisze dotarto do pawilouu Hortensyi. Lupin i dwaj jego towarzysze zeszli na dół i przeszli wzdłuż cały podziemny ganek. Gdy doszli do końca, p. Weber przemówił:

— Jesteś pan wolny!

— Słownie dziękuję, drogi panie Weber i bardzo przepraszam za cały ambaras. Moje uszanowanie, panie prefekcie!

Wyszedł na schodki, prowadzące do willi pod Glicyniami, podniósł klapę i wskoczył do izby.

Czyjaś ręka chwyciła go za ramię.

Przed nim stał gość jego wczorajszy, w towarzystwie czterech ludzi.

— Jakżeż to? Co znaczy ten żart? — zdziwił się Lupin. — Czyż to ja nie jestem wolny?

— Owszem, owszem — mruknął Niemiec — jesteś pan wolny; wolno panu podróżować z nami, jeżeli pan łaskaw!

Lupin szybkim spojrzeniem obrzucił obecnych i mało zachęcające ich twarze.

— Jeżeli łaskaw! — rozśmiał się. — Ależ to moje marzenie!

Na podwórzu czekał automobil silnej budowy. Wsiadli weń wszyscy.

— W drogę! — zawołał Lupin po niemiecku. W drogę do Veldenz!

— Cicho! Ci ludzie nie powinni nic wiedzieć! — ostrzegł go hrabia. — Mów pan po francusku. Nie rozumieją, a zresztą po co rozmawiać?

— Dla zasilenia motocykla jechali wieczór całonocnie poza Metzem i skręcili w tylko raz po raz ostrzegali dążący za nimi ranny kierunku Trewiru, który znowu automobil.

— Na prawo! Zwolnij!... Niech nas miną! — zawołał do szofera.

W tej chwili automobil za nimi zdwoił jeszcze szybkość i minął ich, jak wichor, wznosząc tuman pyłu. W tyle rozróżnić było można postać stojącego mężczyzny. Ubrany był czarno. Wzniósł rękę. Huknęły dwa strzały.

Hrabia, który wychylił się przez lewą portyere, zachwiał się i opadł w głąb powozu.

— Rana nie była poważną. Opatrzono ją na przedce. Ranny jednak, rozdrażniony, dostał gorączki i zaczął majaczyć. Była ósma rano. Stali w szczerem polu, zdale od mieszkań ludzkich. Ludzie byli bezradni, gdyż nie znali dokładnie celu wyprawy. Dokąd jechać? Kogo uprzedzić?

Ustawili automobil pod lasem i czekali.

W ten sposób zeszedł cały dzień. Wieczorem dopiero nadszedł oddział kawalerii, wysłany z Trewiru na poszukiwania za automobilem.

W dwie godziny później Lupin wysiadł i wciąż pod strażą dwóch Niemców wchodził po schodach do małego pokoiku o zakratowanych oknach.

Tam spędził noc.

Nazajutrz rano oficer gwardyi przeprowadził go przez podwórze, zapełnione żołnierzami, do środkowego budynku wśród całego szeregu budowli okrajających wzgórek, na szczycie którego rozsiadła się ruina starego zamczyska.

Wprowadzono go do obszernej izby, naprędce umeblowanej. Przed biurkiem przeglądał dzienniki, nakreślając coś na nich czerwonym ołówkiem, sam monarcha.

— Proszę odejść — zwrócił się do oficera.

I przystąpił do Lupina.

— Gdzie papiery? — Ton jego był suchy, rozkazujący, wzdurliwy.

— Gdzie papiery? — powtórzył.

— Są w zamku Veldenz — odpowiedział Lupin, nie tracąc miny, spokojnie.

— Jesteśmy w dolnych zabudowaniach zamku. Tam są ruiny.

— Papiery przechowane są w tych ruinach.

— Pójdźmy tam. Zaprowadź mnie.

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Lupin — to nie jest tak proste, jakby się zdawało. Trzeba trochę czasu, by wprowadzić w grę czynniki potrzebne do otworzenia skrytki.

— Ile godzin panu na to trzeba?

— Dwudziestu czterech.

— To w naszej umowie nie było zastrzeżone! zachnął się gniewnie panujący.

— Szczegóły nie były omówione, Najjaśniejszy Panie!... Ani to, ani ta przejażdżka, którą Jego Cesarska Mość nakazał mi odbyć pod strażą sześciu gwardzystów. Gdyby nie to, papiery byłyby już w posiadaniu Waszej Cesarskiej Mości. Straciliśmy bowiem cały jeden dzień przez to jedynie... — A wszystko dla tego, że Najjaśniejszy Pan nie raczył mi zaufa i nie pozwolił działać z wolnej stopy!

Monarcha ze zdziwieniem spojrzął na tego wyrzutka społeczeństwa, na tego bandytę, który czuł się urażonym brakiem okazanego sobie zaufania. Nie odpowiedział, zadzwonił tylko.

— Poprosić oficera służbowego — rozkazał.

Wszedł hrabia Waldemar, bardzo blady.

— To ty, Waldemarze! Dobrze się już czujesz?

— Dziękuję. Oto jestem na rozkazy.

— Weź ze sobą pięciu ludzi. Aż do jutra rana nie opuszczaj... tego pana ani na krok.

Spojrzał na zegarek.

— Aż do jutra rana do dziesiątej... nie, niech będzie aż do południa. Pójdiesz z nim, dokądkolwiek będzie chciał, zrobisz, co ci poleci zrobić. Jednym słowem niech on tobą rozporządza. Jeżeli do dwunastej nie wręczy mi paczki listów, wsadzisz go do twego automobilu i nie tracąc czasu odwieziesz go wprost do więzienia Santé.

I wyszedł.

## Rozdział IV.

Ruiny zamku Veldenz, dobrze znane tym wszystkim, którzy zwiedzają brzegi Renu i Mozelli, obejmują szczątki starego zamku feudalnego, zbudowanego w XIII wieku i obok olbrzymiej wieży nieknięte mury pałacu z czasów odrodzenia, który wielcy książęta Dwóch Mostów zamieszkiwali od trzech wieków.

Ten to pałac zniszczyli zbuntowani poddani Hermana II. Z czterech fasad ziele pustką dwieście okien. Wszystkie boazerie, obicia, większość mebli, węglicznych belkach